



ZŁOTO

WIDZĄCA

księga pierwsza

UCIECZKA

AUTORKA BESTSELLERÓW *NEW YORK TIMES*A

RAE CARSON

Rae Carson "Złotowidząca: Ucieczka" - fragmenty

MAT

FRAGMENT 1

Nad wzgórzami pada strzał, cichy, odległy. Minutę później jeszcze jeden. Ktoś pewnie poluje. Życzę mu szczęścia.

Kiedy moim oczom ukazuje się strumyk o oblodzonych brzegach i wąska dróżka, która prowadzi do domu, dochodzę do wniosku, że nie ma wyjścia, muszę o wszystkim porozmawiać z mamą i tatkiem. Ukrywamy różne rzeczy przed obcymi, ale nie przed sobą.

Peonia rzuca łbem, jakby wyczuwała moje myśli. Nie, to zagajnik działa jej na nerwy, jest za cichy, za nieruchomy.

- Wszystko będzie dobrze, kochana - mówię. Mój głos niesie się pustym echem.

Pomiędzy bezlistnymi drzewami widać już naszą ziemię. Już zawracam Peonię do szopy, kiedy coś przykuwa moją uwagę.

Męski but. Znoszony, pomarszczony, sam jeden, ciśnięty na śnieżną zaspę przy ganku.

- Tatko? - szepczę i nieruchomieję na dwa uderzenia serca.

Zeskakuję z ławki, moja spódnica zahacza o szprychy, wyrrywam ją, biegnę do domu. Ale już wkrótce osuwam się na kolana, zginam w pół, oddycham z trudem.

Bo tatko leży na wznak na schodach na werandzie, z szeroko rozrzuconymi nogami, bosi. Pod jego głową widnieje czerwona kałuża, krew spływa na stopnie. Szeroko otwartymi oczami wpatruje się w niebo, a nad nimi, na czole bielszym niż śnieg, widnieje, jak trzecie oko, ciemna dziura po kuli.

- Mama! - krzyczę raz za razem. Nie mogę oderwać wzroku od twarzy tatka. Wydaje się zaskoczony. I żywy, nie licząc tego nieruchomego spojrzenia.

Dlaczego mama nie odpowiada?

Nagle świat znowu się porusza. Osuwam się na poręcz.

Dwa strzały. Słyszałam dwa strzały.

- Mama - szepczę.

Biegnę. Biegnę przez salonik, pokój rodziców, kuchnię, w której jeszcze panuje bałagan po kolacji. Na piętro, tam gdzie śpiam, i z powrotem na dół.

Ale mamy nigdzie nie ma, a dom jest tak pusty, że ścisza mi się serce.

Cały czas wołam ją po imieniu. Wybiegam na zewnątrz, walę w drzwi wychodka, zaglądam do szopy, biegnę przez nasz mały strumyk, wbiegam do brzoskwińskiego sadu.

Pod drzewami zatrzymuję się gwałtownie. Świat jest nagle pusty i cichy. Za cichy, jakby nawet drzewa musiały na chwilę ucichnąć i posmutnieć. Może to i dobrze; powinnam przestać panikować i zacząć myśleć. „Mądra z ciebie dziewczyna, Lee”, powtarza zawsze tatko, zwłaszcza kiedy głowię się nad algebrą. „Dasz radę”.

Otulam się ramionami dla ochrony przed zimnem i strachem. Zamykam oczy, koncentruję się, obracam wkoło, jak igła kompasu. Złoto wzywa mnie od północy, za sadem, z miejsca, w którym zaczęliśmy z papą pracować, zanim spadł śnieg. O wiele cichszy, jakby z oddali, jest głos, którego szukam; hymn czystości, gula słodyczy w moim gardle. Grudka albo, taką mam nadzieję, medalion mamy.

Od strony szopy. Ale przecież już tam byłam. Czego nie zauważyłam?

Gula słodyczy każe mi wracać między drzewami brzoskwińowymi o nagich gałęziach, przez lodowaty strumyk. Wrażenie nabiera intensywności, w miarę jak jestem coraz bliżej. Nie płynie z wnętrza szopy, tylko zza budynku, zza kurnika, od strony sterty drewna.

Ziemia przy kurniku jest zasłana piórami; coś tak bardzo przeraziło biedne ptaki, że aż ich pióra wydostały się przez otwory w ścianach. Słodycz w moim gardle przeradza się w gorzycz. Z trudem robię kolejne kroki.

I tam ją znajduję; siedzi oparta o stertę drewna, z nogami wyciągniętymi przed siebie, ze spódnicą zadartą tak wysoko, że widzę skraj szarej pończochy nad cholewką buta. Medalion, który mnie do niej doprowadził, spoczywa na jej piersi powyżej serca, mieni się w słońcu. Krew spływa aż poniżej talii. Dostała w brzuch.

Trzepocze powiekami, kiedy podchodzę bliżej, i wyciąga do mnie rękę.

- Leah - szepcze. - Moja śliczna dziewczynka.

Podbiegam do niej, chwytam za rękę.

- Pojadę po doktora - mówię. - Trzymaj się. - Chcę się odsunąć, ale trzyma mnie mocno, choć wzrok ma tak mętny, że wydaje się, że koncentruje się na mnie nie dłużej, niż trwa dotyk motyla.

- Moja silna dziewczynka. Silna, doskonała...

- Kto ci to zrobił? - Łzy palą mnie w oczy.

Głowa opada jej w moją stronę, jakby ten ruch pozwolił jej patrzeć tam, gdzie uciekają oczy.

- Zaufaj komuś. Nie można być tak samotnym, jak my byliśmy. Nie mieliśmy z tatkiem racji... - Mówi coraz ciszej.

- Mama?

- Uciekaj, Lee. Uciekaj...

Podbródek opada jej na piersi, nie mówi już nic więcej.

FRAGMENT 2

- Jadę na zachód, Lee - wyrzuca z siebie.

Jak cios w brzuch.

- Co? Kiedy?

- Teraz - odpowiada. - Jedź ze mną.

Kara klacz stoi przy schodkach. Sakwy przy siodle, długa strzelba Jeffersona w kaburze od strony zadu.

- Ta grudka, którą mi dałaś. Powinienem ci ją oddać, ale... Właśnie wracam ze sklepu Wolnego Jima. Kupił ją ode mnie. Zapłacił tyle, że starczy na miejsce na wozie.

- Nigdy nie była moja. Mogłeś z nią zrobić, co tylko chciałeś.

- Więc jedź ze mną do Kalifornii. Choćby dzisiaj mogłabyś sprzedać ziemię panu Gilmore'owi.

Zamykam oczy i widzę przejrzyste górskie potoki pełne złotych płatków, grudki czekające wśród sosnowych igieł, tyle zwierzyny, że wystarczy wyjść na ganek i polować. Dla dziewczyny takiej jak ja Kalifornia to ziemia obiecana.

- Posłuchaj, Leah, gdybyś to zrobiła, mielibyśmy dość pieniędzy, żeby zapłacić za podróż i...

- Sama nie wiem. - O to chodziło w jego oświadczeniach? Chce mieć pomocnika w drodze na zachód?

- Pan Gilmore od lat miał waszą ziemię na oku - obstaje przy swoim.

Kręcę przecząco głową.

- To i tak bez znaczenia. Jestem tylko dziewczyną, nie mogę niczego sprzedać, póki nie znajdę testamentu tatka na dowód, że to wszystko jest moje. - Nie bardzo wiem, jak to zrobić. To wujek Hiram przed laty spisał jego testament. - Jeff, tu jest mój dom. Harowałam w pocie czoła, żeby powstało tu coś ładnego. Nie wiem, co ze mną będzie, jak sobie sama poradzę, ale...

Podchodzi bliżej, aż wypełnia sobą całą framugę. Kiedy właściwie Jefferson tak urósł?

- Więc po prostu jedźmy.

Na miłość boską! Czuję, jak w moim sercu znowu otwiera się bolesna rana, taka sama jak ta, która zjawiła się, gdy zobaczyłam but tatka na śniegu.

- Muszę być na pogrzebie, muszę przejrzeć rzeczy rodziców, no i są moje kury i...

Zakłada kapelusz na głowę.

- Znam cię i wiem, że tego chcesz. Jeśli zmienisz zdanie, szukaj mnie w Independence, w stanie Missouri. Poczekam na ciebie. I tak na zachód nie ruszę, póki na prerii nie będzie świeżej trawy, bo inaczej kara klacz mi padnie. Ale dłużej nie mogę czekać, bo inaczej zima zastanie mnie w górach. - Zaciska usta w wąską linię. - Będę czekał w Independence tak długo, jak się da.

Odprowadzam go wzrokiem, a rana staje się coraz głębsza i bardziej bolesna. Słońce pada mu na ramiona, oświetla jak pochodnię i przez chwilę nie mogę oddychać.

Zatrzymuje się. Odwraca. Ze smutkiem w oczach mówi:

- Wygląda na to, że całe życie czekałem na twoją decyzję, Lee. Ale mężczyzna nie może czekać bez końca i dalej być mężczyzną.